

Unterhillinglah¹

Przełożyła Elżbieta Zarych

Nie prasowała dobrze. Nigdy nie prasowała dobrze. Żelazko jej nie słuchało. Para udająca zapach lawendy parskała jej prosto w twarz, a nie rozprostowywała fałdek. Prasowanie było karą. Kogoś, kto dał się ujeźdzać diabłu, traktowano gorącym żelazem, aż ustępowały czucie i chęć życia. Stara historia.

Nie była sama. We wszystkich sąsiednich domach charczały i prychały żelazka, w pomieszczeniach, które nazywały pokojami do pracy. Te pomieszczenia były w piwnicy, na jeszcze niezabudowanych strychach, w zapobiegliwie planowanych drugich pokojach dziecięcych albo w pokojach gościnnych (na wszystkie okazje), które wkrótce stawały się pakamerą albo pokojem do pracy, albo jednym i drugim. Tutaj można było je urządzić. Dlatego pozostawały niezauważane.

Pozostające w domu miały dobrze zabezpieczone. Deska do prasowania i pełny kosz prania. Radio i telewizor. Step, wstążka do ćwiczeń, trener domowy i hantle. Tu i tam także biurko – żeby móc żonglować pieniędzmi na domowe wydatki, aby stawiać horoskopy. Przyszłość oferowała tylko jedną alternatywę. Pozostać w domu, a potem we właściwym czasie wyrwać się albo stać się zbyteczną, niezauważalną. Okno jej pokoju do pracy wychodziło na zachód, spojrzenie wędrowało przez teras sąsiedniego domu, przez dwa pola kukurydzy na następne osiedle szeregowców, aż do małej plamy lasu liściastego. Między tym wiły się koło strumienia tory aż do horyzontu. Kolej lokalna, jednotorowa, z konduktorem, który zabrał się do pracy, mając na oku każdego z pasażerów. Tą kolejką daleko się nie zajędzie.

Diabeł nie miał kozich nóg, ale żelazo na obcasach, żeby sobie po drodze do góry nie zdeptać butów. Ale mimo dźwięczących kroków nie szedł przed siebie, tak jak planował. Za to w domu musiało iść tym szybciej. TAK, TAK, TAK. Z ulicy na klatkę schodową. TAK, TAK, TAK. Korytarzem. Hali, halo, czy nikogo nie ma w domu? TAK, TAK, TAK. Cześć kochanie. Witajii. Strzał w łopatkę. Dziecko domaga się piersi co dwie godziny. To było zadziwiające uczucie znowu móc chodzić bez brzucha pod płaszczem. Nie chciała, by utrzymywało się to zbyt długo. Nie ufała teściowej i jej przywiązaniu do karmienia butelką. Chciała przez kilka minut zaczerpnąć innego powietrza. Przez kilka minut być sama. Potrzebowałyby więcej czasu, żeby pozbyć się niezgrabnego kaczego chodu. W kawiarni rzuciła się najpierw na stół z gazetami. Potem usiadła na wyściełanej ławie przy oknie. Zapomniała się przebrać. Siedziała w stroju do joggingu i z nieułożonymi włosami. Śmierdziało dymem i woskiem do podłóg. Syk ekspresu do kawy stawał się przenikliwy, szmeranie gazet zabawne. Na wszystkich stronach można było przeczytać

¹ Miejscowość w Górnej Austrii.

o tym samym. Niczego nie przegapiła. Czula się zraniona między nogami, piersi były napięte, kaptało z nich. Ciągnęło ją do jej dziecka i jego spokoju.

Także drugie wyjście w nowym życiu kończyło się klęską. Wyjechała z dzieckiem z domu. Dziecko było zawinięte w bawełnę, wełnę i owczą skórę. Torowała sobie drogę. Krawężniki do góry i na dół, omijanie zasp, piekarz niedostępny z powodu schodów. W supermarkecie zatrzymała się w obrotowych drzwiach. Darta wózek dziecięcy tam i z powrotem, zaklinowała go przez to jeszcze bardziej chromowymi prętami. Dziecko obudziło się i darło. Ktoś przyprowadził kierownika działu. Ona szarpała za wózek, kierownik działu ciągnął i pchał drzwi obrotowe, dziecko wrzeszczało. Jak najszybciej popędziła do domu. Nadwężyła sobie nerwy i straciła orientację. Masz rację. Zostanę w domu.

Dom na wsi został szybko postawiony. Wiśnia owocuje po niedługim czasie. Forsycje domagają się przycięcia. Szalwia jest odporna na mróz, ale lawenda nie. Wieczna zieleń okazuje się idealnym przykryciem ziemi. Róże kwitną od kwietnia do października. Trawnik ryją krety. Dzieci będą dziś szybko samodzielne. Ona łatwo poradzi sobie z wypuszczeniem. Łatwo poradzi sobie z odejściem. W każdym razie jej zysk jest większy niż strata.

Ściana z gipsu w jej pokoju do pracy nie jest otynkowana. Myślała, że w takiej prowizorkie będzie mogła krócej wytrzymać. To było przypadkowe. W większości więzień są same żarówki i puste ściany. Przeniosła się do tego więzienia, do deski do prasowania i góry wypranych ubrań i okna z widokiem na kolej. Czerwony wagon motorowy nie wie, co to spóźnienie. Jedzie i wraca, jedzie i wraca. Wypuścić, napuścić. Wypuścić, napuścić – to było to, czego miała się nauczyć, pozostając w domu. Jak odpływ i przyptyw przychodziły i odchodziły dni przed oknem. Życie ją wypluwało i pochłaniało w tej miejscowości przy kolei podmiejskiej. Miejscowość z dnia na dzień była dla niej coraz bardziej obca. Prawie już wydawała się jej celycka. Może dlatego fala pływowa była tak wysoka. Żelazko sunęło wzdłuż plisy z guzikami i zaszyca, objeżdżało wszycie rękawów, wpadało na kotnierz i odgniało ostre kanty właśnie tam, gdzie wszystko powinno być gładkie i bez zakładek. Zostawiła koszulę.

Już więcej nie udało się jej wydostać z doliny fali. Z prychającym żelazkiem borykała się przez włokące się, mokre dni. Weszła do połowy góry fali, krótkie spojrzenie na jej grzbiet i pianę burzącej się wody, aby natychmiast zostać rzuconą w głębię. Oczekiwała tylko zmiany pływów. Odpływ, przyptyw. Pełnia, nów. Strażnikowi nadbrzeżnemu pozwoliłaby machać i krzyczeć, jego sygnałom flagowym nie poświęciłaby już więcej uwagi. Leżałaby i czekała. Z następną pełnią nadejdzie wiosenny przyptyw. Tym razem podda się prądowi.